Rok IX. Dnia 27 Lutego (10 Marca) 1888 r. № 10.

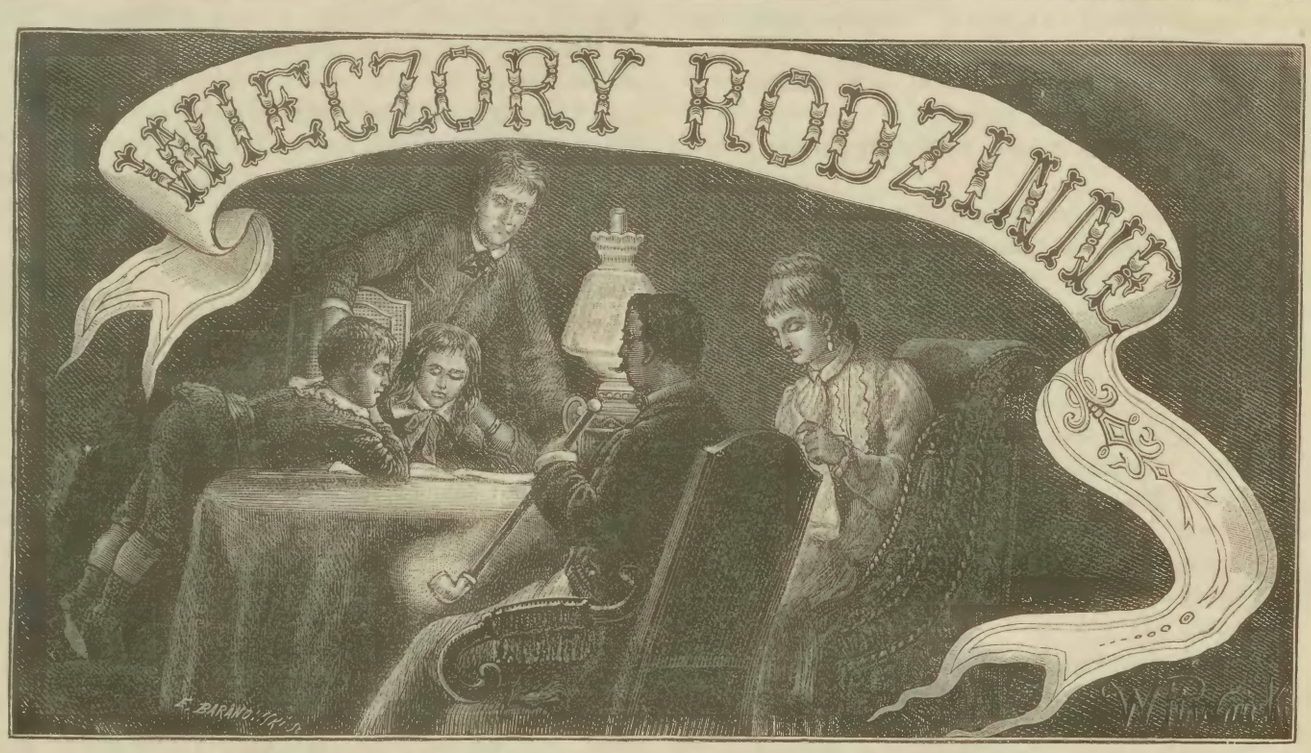

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

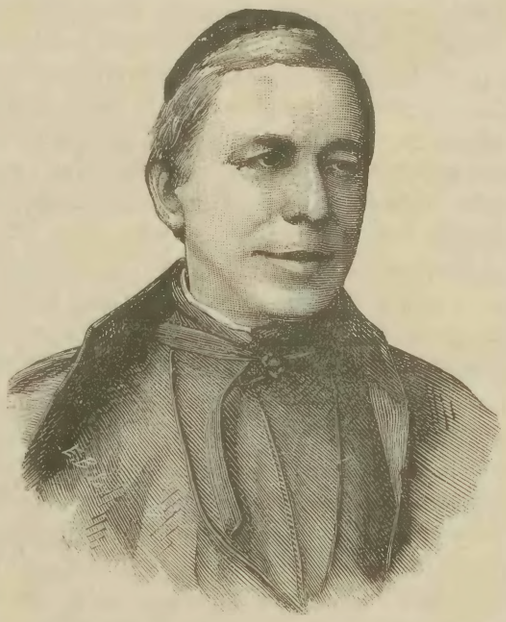

Ojciec Secchi.

Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.

— Panie Adamie! — wołała Helenka, jak zwykle z gwarem i hałasem wbiegając do mieszkania starego przyjaciela — dziś jeszcze Syryusz widzialny jest na niebie, ten piękny Syryusz, najjaśniejsza ze wszystkich gwiazd. Napatrzyłam się też nań do woli, korzystając z pogody, bo niezadługo już zniknie, jak powiadał pan Adam, aż do przyszłéj zimy.

— Tak, tak — odrzekł p. Adam — wspaniały Syryusz tylko zimą ukazuje się na naszem niebie. Ale bardzo mi to przyjemnie, że Helenka tak pamięta o wszystkiem, co ja opowiadam.

— Ach! o gwiazdach szczególnie; tak lubię gwiazdy, że słuchałabym chętnie bez końca opowiadania o nich. Gdybym była mężczyzną, zarazbym astronomem została. Ale słyszałam, że wielki astronom Herschell miał siostrę, która mu pomagała w pracy, i była także znakomitą astronomką. Wiesz co, Wacławie, zostań ty astronomem, a ja będę twoją pomocnicą.

— Nie mam powołania do astronomii — odrzekł Wacław.

— W naszych czasach — mówił p. Adam, kobiety mogą się uczyć wszystkiego i gdyby która miała wielką ochotę do astronomii, niktby jéj nie przeszkodził. Nim jednak Helenka astronomką zostanie, nim sama robić zacznie spostrzeżenia i odkrycia, może się odemnie niektórych ciekawszych szczegółów dowiedzieć. Oto naprzykład czytałem niedawno zajmującą rozprawę o wieku gwiazd. Czy też wam kiedy przyszło na myśl, że gwiazdy mogą być młodsze i starsze?

— To jeszcze nic dziwnego, że mogą być starsze lub

młodsze — odezwał się Wacław — tylko ciekaw jestem, jak też ludzie poznać potrafili i odróżnić wiek gwiazd? Toż wszystkie jednakowiuteńko wyglądają. Czyżby większe i jaśniejsze miały być starsze?

— O, wcale nie — rzekł p. Adam — bo właśnie świetny Syryusz do młodszych jest zaliczony.

— A to ciekawa rzecz, jakże wyglądają starsze? — spytał Wacław.

— Już dawniéj próbowano gwiazdy rozróżniać i klasyfikować, stosownie do ich cech zewnętrznych — rzekł pan Adam — jeden z najznakomitszych astronomów nowożytnych, kapłan włoski, zwany Ojciec Secchi, należał bowiem do zakonu Jezuitów, poświęcał się wyłącznie prawie badaniu gwiazd i napisał o tem obszerne dzieło, wysoko cenione przez uczonych. Przy téj sposobności mogę wam pokazać wizerunek tego uczonego kapłana, który szedł w ślady naszego wielkiego Kopernika. W szlachetnych rysach téj twarzy maluje się piękna i wzniosła dusza, miłująca Boga i wielbiąca Go w dziełach Jego.

— Prawda, że bardzo miły ma wyraz twarzy ten Ojciec Secchi — rzekła Helenka — czy on już nie żyje?

— Zgasł przed kilku laty, chociaż nie był jeszcze bardzo sędziwy. Ale otóż miałem właśnie opowiadać, jak to on gwiazdy na niebie gatunkował. Główną różnicą, jaką spostrzegł pomiędzy niemi, jest barwa. Jedne świecą białem, olśniewającem światłem, inne przechodzą w odcień żółtawy, czerwonawy, a trzeba wiedzieć, że nawet i nasze słońce, chociaż światło jego mienimy białem, w rzeczywistości jest żółtawe, w porównaniu do słońca naszego, Syryusz o wiele czystsze, bielsze ma promienie. Ta klasyfikacya, któréj dokonał z nadzwyczajną dokładnością Ojciec Secchi, doprowadziła do wniosków bardzo ciekawych o ustroju wewnętrznym, a ztąd i o wieku gwiazd. Powiadają tedy panowie astronomowie dzisiejsi, na mocy różnych spostrzeżeń i badań, że pomiędzy gwiazdami najmłodsze są białe, starsze nieco żółtawe, a jeszcze starsze, sędziwe, odznaczają się odcieniem czerwonym.

— O, mój panie Adamie — zawołała Helenka — żebym też ja zobaczyła choć jednę taką staruszkę sędziwą.

— Gdy patrzymy na gwiazdy gołem okiem, ta różnica barwy mało jest dla nas widoczną. Mogę ci jednak wskazać taką czerwoną gwiazdę staruszkę, łatwą do odszukania. Wszak znasz Wielką Niedźwiedzicę, czyli Wielki Wóz. Otóż linią, idącą przez ogon Niedźwiedzicy czy też dyszel Wozu, przeciągnij daléj w tym samym kierunku, a natrafisz na gwiazdę, mniéj świetną wprawdzie od Syryusza, dość jednak okazałą, gdyż do 1-széj wielkości jest zaliczona. Otóż ta gwiazda, Arkturem zwana, ma bardzo wyraźną barwę czerwonawą.

— Ależ ja znam dobrze Arktura, tylko nie wiedziałam nic dotąd o jego wieku podeszłym — odrzekła Helenka — ja znam wszystkie znaczniejsze gwiazdozbiory, czyli konstelacye i gwiazdy 1-széj wielkości. Muszę sobie koniecznie dostać porządną mapkę nieba i w nocy pogodne będę wszystko oglądać i sprawdzać. Zkądby to wziąć, panie Adamie, takiéj dokładnéj, doskonałéj, niezmiernie ścisłéj mapy nieba?

— Ha! jeżeli ci idzie o taką nadzwyczajną doskonałość — mówił z uśmiechem p. Adam — to radzę poczekać trochę. Oto właśnie w roku ubiegłym astronomowie całego świata cywilizowanego zgromadzili się w Paryżu na posiedzeniu międzynarodowem i tam postanowili wspólnemi siłami wykonać mapę nieba taką, jakiéj nie było jeszcze na świecie. Będą tam zaznaczone nietylko gwiazdy gołem okiem widziane, lecz wszystkie najdrobniejsze, które tylko przez szkła potężne dostrzeżone być mogą. Dokładność i ścisłość téj mapy z góry już jest zapewniona, bo wykonanie jéj nie będzie powierzone rękom ludzkim, które tak łatwo omylić się mogą.

— Jakto, jakto? nie rękom ludzkim? A więc któż, jakaż to nadludzka siła wykonać ma tę mapę nieba? — spytała Helenka zdziwiona.

— O, siła bardzo znana i bardzo już pospolita, choć niemniéj zadziwiająca; poprostu siła światła, mapa nieba wykonana będzie fotograficznie.

— Fotograficznie? a czyż fotografia może pozaznaczać te wszystkie drobniuteczkie gwiazdki, niewidzialne bez szkieł potężnych?

— Oho! lepiéj ona i dokładniéj od tych szkieł wykrywa szczegóły niedojrzane — mówił p. Adam — raz naprzykład pewna pani przyszła do fotografa, aby jéj wizerunek zrobił. Tymczasem klisza niewiadomo dlaczego wyszła nieczysto, na twarzy téj pani, która miała płeć piękną i gładką, ukazały się jakieś dziwne kropeczki, rozsypane gęsto, ale tylko tam, gdzie ciało było odkryte, na twarzy i na szyi, suknie wyszły na kliszy zupełnie czysto. Fotograf sądził zrazu, że to coś przypadkowego, probował raz po raz, zawsze jednak owe kropeczki szpeciły fotografią. Pani ta zniecierpliwiona odeszła do domu, a w nocy dostała na twarzy i na całem ciele jakichś wyrzutów; te kropeczki zagadkowe na fotografii były poprostu zapowiedzią choroby, krosty, niewidoczne dla oka, już tam w zawiązku istniały, wykryła je fotografia.

— Mój Boże, jakież to szczególne!

— Teraz pojmujesz zapewne, że i na niebie fotografia nic nie przeoczy i nie opuści. Już zresztą przekonano się o tem, bo parę lat temu na kliszy fotograficznéj téj części nieba, gdzie się znajduje gwiazdozbiór Plejad, spostrzeżono małą plamkę, o któréj astronomowie nic nie wiedzieli. Zaczęto pilniéj wpatrywać się w ten kawałek nieba i spostrzeżono w końcu mgławicę nieznaną, tak niewyraźną, że nikt przedtem na nią żadnéj uwagi nie zwrócił.

— A toż naprawdę będzie doskonała taka fotograficzna mapa — rzekła Helenka — ale pan Adam żartuje sobie ze mnie, bo ja tam pewnie nigdy nawet z daleka jéj nie zobaczę, ci uczeni panowie astronomowie robią ją dla siebie tylko.

— Jeżeli jednak zostaniesz także uczoną astronomką...— odrzekł p. Adam — w każdym razie ta mapa stanie się skarbem nieocenionym dla nauki, będzie to niejako kronika nieba. I późniéj zapewne, w pewnych odstępach czasu, będą wykonywane mapy podobne, a uczeni, porównywając je uważnie pomiędzy sobą, dostrzegą z łatwością, gdyby tam wśród przestrzeni niebieskich zaszła jaka zmiana, choćby najdrobniejsza. Teraz są tylko pod tym względem przypuszczenia, bo nikt ufać nie może nawet oczom własnym, wzrok podlega różnym złudzeniom i zdarzało się nieraz, że ten lub ów astronom zauważył jakieś zjawisko pośród gwiazd lub mgławic, dał o niem znać całemu światu, aż tu nikt oprócz niego dopatrzeć tego nie mógł. Ztąd wniosek, że się pomylić musiał. Ale fotografia nigdy się nie myli, więc jeśli ona coś zaznaczy, to już będzie pewne i niezawodne.

— O, panie Adamie — zawołała Helenka — jaka to śliczna rzecz astronomia i jak ja się cieszę, że jednym z największych w świecie astronomów był Polak, Kopernik. Szkoda tylko, że dziś niema żadnego znakomitego astronoma naszego rodaka.

— Tak znakomitym, jak Kopernik, poszczycić się nie możemy w nowszych czasach — odrzekł p. Adam — a jednak niedawno w kraju naszym zakończył życie człowiek, który na tem polu niemałe położył zasługi, a choć sławy nie szukał, należy mu się uznanie i cześć rodaków Ś. p. dr. Jędrzejewicz nie był magnatem, ale powodowany jedynie zamiłowaniem wielkiem do studyów astronomicznych, własnym kosztem wzniósł obserwatoryum w Płońsku, miejscu swojego zamieszkania i na własną rękę robił obserwacye. Dużo też pisał o astronomii, miewał odczyty publiczne, starał się wiadomości naukowe rozpowszechniać. Był to jeden z tych ludzi, którzy bez żadnego osobistego interesu, bez żadnéj materyalnéj korzyści poświęcają czas swój i majątek dla miłości wiedzy. Cześć jego pamięci.

M. J. Z.

BRAT OCIEMNIAŁY

Powieść

Homera Green'a

uwieńczona nagrodą 1500 dolarów w Nowym Yorku.

Przełożył z angielskiego

Henryk Wernic.

(Dalszy ciąg).

— To prawda — mówił Jakób — ale bez ciebie Benjamin nie da sobie rady. Moje życie i tak niewiele jest warte; niewarto też myśleć o jego ocaleniu. Podzielcie się tem, co pozostało w koszyku. Jest tam niewiele, lecz bądź co bądź przyczyni się do dłuższego utrzymania was przy życiu. Czy widzisz, jak ta lampa ciemno się pali? Nikt długo wytrzymać nie może w takiem powietrzu.

— Proszę cię, jedz z nami—zawołał Tomasz.—Nie powinieneś dla nas pozbawiać się wszelkiego pożywienia.

Jakób, udając, że tego nie słyszy, tak ciągnął daléj:

— Chcę ci powierzyć, Tomaszu, moję tajemnicę, wtedy łatwiéj zniosę to, co ma nastąpić. Dotyczy to twojego ojca, Tomasza Taylor'a. Dowiesz się, w jaki sposób on zginął. Spodziewam się, że nie będziesz zbyt surowym moim sędzią. Słuchaj, Tomaszu, nie bryła węgla go zabiła, lecz ja go zabiłem!

Na to niespodziewane odkrycie, Tomasz powstał, spoglądając na opowiadającego z nieopisanem zdziwieniem i zgrozą. Chciał się oddalić, ale Jakób rzekł:

— Poczekaj, mój chłopcze, nie odchodź, proszę cię, posłuchaj mnie jeszcze chwilkę. — To rzekłszy powstał i tak daléj mówił:—Zabiłem go, to prawda, ale nie naumyślnie. Byliśmy przyjaciołmi. Dobywaliśmy węgiel na wspólkę w jednéj komorze, w kopalni Carbondale. Pewnego dnia pokłóciliśmy się. Nie potrzebuję ci wspominać, co było powodem téj kłótni. Po kłótni nastąpiły wymysły, a po nich uderzyliśmy na siebie. Razy padały po razach, powstała zacięta bójka ręczna, podczas któréj lampy nasze pogasły. Pomimo ciemności, nie przestaliśmy ze sobą walczyć. Trzymaliśmy się silnie za barki, uderzając głowami o kolumny kopalni. Biliśmy się, jak opętani; wtem ojciec twój krzyknął przeraźliwie. Czułem, że wymyka się z rąk moich, że go utrzymać dłużéj nie zdołam i w téj chwili upadł na ziemię, jak martwy kawał drzewa. Po omacku poszukałem lampy, zapaliłem ją, a kiedy na niego spojrzałem, już nieżył. Byłem nikczemnym tchórzem. Nie śmiałem powiedzieć, że stoczyliśmy bójkę, aby nie mniemano, iż go zamordowałem. Położyłem kawał węgla na nim, jakgdyby go bryła zabiła; tak uniknąłem wszelkiego podejrzenia. Wszakże nie mógłem tu dłużéj pozostać, dręczyły mnie wyrzuty sumienia; udałem się w inne okolice, ale nigdzie długo się nie zatrzymałem. Zacząłem pić, źle się prowadziłem, wreszcie wróciłem tutaj i dałem się wciągnąć do zmowy. Jako prawdziwy Szkot, spełniłem dane mi polecenie, nie zważając na żadne następstwa. Przyszło mi to bardzo ciężko, doznawałem rzeczywistych katuszy sumienia,—ale nie mówmy o tem. W nocy spać nie mogłem, a kiedy zasnąłem, straszne ukazywały mi się widziadła: już to, że przyciskałem w ciemności waszego ojca do ziemi, już, że wymyka się z moich rąk i pada na ziemię. Było to okropne, bardzo okropne.

Skończywszy swe wyznanie, Jakób usiadł i zakrył twarz rękami. Rozpacz jego wzruszyła do głębi Tomasza, usiadł on przy nim, ze współczuciem położył rękę na jego kolanie i rzekł po cichu:

— Przebaczam ci.

Po chwili Jakób spojrzał na niego, mówiąc:

— Wierzę ci, chłopcze. Wyznanie moje przyniosło mi pewną ulgę; ale pamiętaj, nic o tem nie mów twojéj matce. Mam trochę pieniędzy, zebrałem je przez długie lata oszczędności; nie mam ani dzieci, ani krewnych. Przeznaczam je dla twojéj matki, dlatego nie chcę, iżby dowiedziała się o tem, co ci powiedziałem, bo możeby ich przyjąć nie chciała.

Powiedziawszy to, Jakób wyjął z zanadrza dosyć gruby zwitek, owinięty w zbrukany papier i wręczył go Tomaszowi.

— Weź to dla twojéj matki — mówił daléj — jest tu tysiąc dolarów. Chciałbym, iżby część téj sumy przeznaczono na przywrócenie wzroku twemu ociemniałemu bratu. Przyrzekłem mu dać pieniądze, potrzebne do jego wyleczenia, obecnie chcę to wykonać.

Tomasz wziął pieniądze, ale z powodu wielkiego zdziwienia i wzruszenia, nie zdobył się na żadną odpowiedź. Znów dał się słyszeć łoskot, dochodzący z krańców dalekiéj przestrzeni, ale po chwili nastąpiła zwyczajna cisza. Jakób pierwszy przemówił:

— Tomaszu, schowaj dobrze pieniądze, nie zgub ich — poczem powstał, jakgdyby chciał odejść.

— Czy chcesz nas opuścić, Jakóbie — rzekł Tomasz.

— Muszę odejść, mój chłopcze, głód mi dokucza, a głód to bardzo zły doradca. Człowiek często nie wie co czyni w głodzie — to powiedziawszy, schwycił obie ręce Tomasza i dodał — przyrzeknij mi, chłopcze, że nie wejdziesz do nowych komór, uroczyście mi to przyrzeknij!

Tomasz przyrzekł, a Jakób powiedział:

— Może was już więcéj nie ujrzę, bądźcie więc zdrowi i tylko nie traćcie odwagi, bo to rzecz bardzo ważna.—Rzekłszy to, Jakób puścił ręce chłopca, zabrał lampę i z łagodnym uśmiechem na ustach zaczął się oddalać. Przeszedłszy korytarz, zbliżył się do wrót, gdzie dotąd spał Benjamin, chwilę się tu zatrzymał i z taką tkliwością na niego spojrzał, z jaką poraz ostatni spoglądamy na tych, których kochamy; a pochyliwszy się, złożył na jego czole pocałunek. Opuściwszy chłopca, wszedł do galeryi, ztamtąd do jednéj z nowych komór, któréj powietrze zatruwał gaz zabójczy. Odtąd nikt już o nim nic nie słyszał, prawdopodobnie gaz ten stał się przyczyną jego śmierci.

Po odejściu Jakóba, Tomasz poszedł do Benjamina w chwili, kiedy ten się przebudził.

— Ach, tak piękny miałem sen, Tomaszu — rzekł ociemniały chłopiec. — Śniło mi się, że było rano, że leżałem w mojem łóżku w domu. Było lato, słyszałem śpiew ptaków, siedzących na topoli. Mama zbliżyła się do mego łóżka, pocałowała mnie. Tomaszu, widziałem mamę, słońce, które zaglądało do naszego okienka i rzucało jasną smugę światła na podłogę. Poskoczyłem do okna i wyjrzałem. Widziałem i ludzi, i drzewa i domy, ach, jakże to było piękne!

Opowiedziawszy swój sen, Benjamin umilkł, lecz po chwili zapytał:

— Jak sądzisz, Tomaszu? gdybym teraz umarł i poszedł do nieba, czy mógłbym tam widzieć?

— Tak mi się zdaje — odpowiedział Tomasz — ale ty nie umrzesz. Obaj ztąd wyjdziemy zdrowo i cało.

Benjamin wszakże ciągle myślał o tem, że w niebie widzieć będzie, i rzekł:

— Jeśli tak, to wszystko mi jedno, żyć lub umrzeć, Tomaszu, byleby tylko mama była ze mną.

Tomasz dla rozerwania myśli swego brata mówił z wielką pewnością, że ocalenie ich jest już bardzo blizkie, czem tak sobie, jak i Benjaminowi dodawał odwagi.

Ociągał się ze spożyciem ostatnich resztek jadła, wreszcie przemagające uczucie głodu zmusiło go do otworzenia koszyka. Powiedział on bratu, że Jakób na chwilę odszedł i że polecił im podzielić się tem, co pozostało w koszyku. Benjamin uwierzył słowom brata, spożyto więc resztki jadła, poczem nastąpiła długa chwila milczenia, podczas któréj chłopcy pilnie nadstawiali uszu, czy nie usłyszą jakiego łoskotu; wreszcie położyli się i zasnęli.

W podziemiu głębokie panowało milczenie, przerywane jedynie ciężkim oddechem śpiących chłopców. Po upływie pewnego czasu Tomasz się ocknął, przebudzony dziwnem uczuciem, jakgdyby go kłuło po całem ciele. Głowa mu ciążyła, doznawał wielkiego osłabienia; ale Benjamin ciągle jeszcze spał.

— Niechaj śpi — pomyślał Tomasz, skróci to mu czas oczekiwania. — Atoli i Benjamin coraz częściéj wzdrygał się we śnie, wreszcie zupełnie się przebudził. Uskarżał się on na wielkie osłabienie i straszny ból głowy; lecz wkrótce znów zasnął, a skoro po kilku godzinach ponownie się obudził, zażądał wody. Dziwna opanowała go senność, spał też daléj, lecz bardzo często się przebudzał ze skargą na ból głowy.

Tomasz bardzo był o niego niespokojny, pielęgnował go i pocieszał, jak mógł, nie zważając na własne swe cierpienie. I on spał tylko chwilami, a za każdym razem po przebudzeniu wytężał słuch, czy nie usłyszy jakiego łoskotu. Czas biegł bardzo pomału a lampa coraz ciemniéj się paliła; zabójczy gaz coraz bardziéj przesycał powietrze w ich schronieniu. Po długotrwałem milczeniu, Benjamin cicho zawołał:

— Tomaszu!

— Czego żądasz, Benjaminie?

— Gdzie jest Jakób?

— Poszedł do nowych komór.

— Kiedy tam poszedł?

— Będzie już dwa dni temu, tak mi się zdaje.

— Słuchaj, Tomaszu, czy to nie on robi ten hałas?

— Żadnego nie słyszę hałasu, Benjaminie.

— Słuchaj tylko dobrze; kołatają, czy nie słyszysz?

Tomasz nic nie słyszał; gwałtowne bicie jego serca przygłuszało ten nieznaczny szmer, dolatujący uszu jego brata.

— Teraz już nic nie słyszę — rzekł Benjamin. Obaj chłopcy wytężyli słuch, a od czasu do czasu Benjamin twierdził, że słyszy łoskot i zapytał Tomasza, czy go również słyszy. Ostatecznie i Tomasz go usłyszał. Rzeczywiście odzywał się jakiś odległy, niewyraźny szmer, podobny do łoskotu. Przekonawszy się o tem, Tomasz pochwycił mały oskard, pochodzący z jednéj z nowych komór, pobiegł do galeryi i kilkanaście razy uderzył nim z całéj siły w ścianę, poczem położył się na ziemi i słuchał. W niepewności, czy go usłyszano, ponownie chwycił za oskard, uderzając nim w ścianę na ile sił mu starczyło. Uczynił to jeszcze kilka razy, lecz słaby łoskot chwilami ustawał i dawał się uczuć tylko nieznaczny powiew wiatru.

Po niejakiéj chwili powrócił do wrót, gdzie się znajdował Benjamin, usiadł przy nim, usiłując go rozweselić swoją rozmową. Ociemniały chłopiec leżał zupełnie nieruchomo, doznawał silnego bólu głowy, mowę miał ciężką, niewyraźną, a czasami widocznie nie wiedział, co mówił. Raz nawet podskoczył z posłania na równe nogi, wołając, że sklepienie się wali.

W takiem położeniu Tomasz przepędził jeszcze czas długi, wreszcie dało się słyszeć wyraźne uderzenie oskardów. Usłyszawszy to, Tomasz kilkanaście razy jeszcze uderzył małym swym oskardem w ścianę; teraz był już pewny, że go usłyszano, bo natychmiast po jego uderzeniu nastąpiły uderzenia, mające służyć za odpowiedź.

Ach! jak długim zdawał mu się ten czas oczekiwania, jak wolno upływały chwile. Wszakże nie tracił on nadziei, niepokoił się tylko o Benjamina. I słusznie, bo ociemniały chłopiec wcale już się o siebie nie był zdolny niepokoić; nie słyszał on już uderzenia oskardów, zwiastujących mu ocalenie. Przewrócił się na bok i szeptał po cichu:

— Tak jest, widzę to, jakie to ładne — potem dodał: —Ach, mamo, jak szczęśliwy jest ten, kto widzi.

Łoskot zmienił się teraz na donośny huk, rozlegający się echem po galeryach i korytarzach podziemia. Tymczasem ilość zabójczego gazu coraz bardziéj się powiększała, głód coraz bardziéj dokuczał, a płomień lampy coraz ciemniéj przyświecał. Widocznie zmniejszała się przestrzeń, oddzielająca ich od śmierci.

Była chwila, iż niepodobna było już powiedzieć, czy Benjamin należy do żywych, czy do umarłych. Mózg jego zupełnie był bezczynny, a język odmawiał posług.

Uderzenia były coraz głośniejsze, można było nawet słyszeć głosy ludzi; widocznie byli już od nich niedaleko, może o jednę tylko ścianę. Mury więzienia wstrząsać się zaczęły od silnych uderzeń, ale słabe światło lampki już zagasło, godziny mijały w ciemności, a ponad pierwotnem posłaniem ociemniałego chłopca, unosił się anioł śmierci z rozpostartemi skrzydłami do lotu.

— O Boże! — błagał Tomasz — zachowaj przy życiu Benjamina, dopóki nie przybędą.

(d. c. n.)

BODOUIN.

Nazwisko ma nie polskie, polskie serce nosił,
Dla biednych nagromadzał sam o nic nie prosił,
Wspaniały dom dla sierot w Warszawie wystawił,
Ich niedolę złagodził, swoje imię wsławił,
Nauczył wielbić Boga i kochać bliźniego,
Dom Dzieciątka Jezus zowią szpital jego.
Tam chroni się każde dziecię opuszczone,
Bodouin cześć ma ziemi, a w niebie koronę.
Uczcie się więc, dziateczki, tak być użyteczne,
Zasłużyć i na sławę i na życie wieczne.

Stanisław Jachowicz.

Pan Eryk Jachowicz, syn nieodżałowanego Stanisława, nadesłał nam ten wierszyk, napisany przez ojca jego drżącą już ręką, na krótki czas przed śmiercią. Kim był ks. Bodouin, o tem zapewne wiedzą wszyscy czytelnicy naszego Pisma. Świątobliwy ten kapłan, prawdziwy anioł miłosierdzia, należał do rzędu tych ludzi, którzy jedynie siłą wielkiéj miłości bliźniego dokonywają czynów olbrzymich. Chociaż Bóg wlał w serca rodziców wrodzone uczucie przywiązania do dzieci, bywają jednak matki wyrodne, które chcąc się pozbyć kłopotów i kosztów wychowania niewinnych tych istot, wyrzekają się ich zaraz po urodzeniu, podrzucają obcym ludziom, lub nawet, strach pomyśleć, własną ręką zabijają. Nie potrzebujemy dodawać, że do takiego występku doprowadza je głównie nędza. Otóż ks. Bodouin, ujrzawszy raz na ulicy, w rynsztoku, szczątki takiego nieszczęśliwego niemowlęcia, przejął się wielką litością dla tych ofiar niewinnych i postanowił pobudować dom, gdzieby przytułek i opiekę znaleźć mogły.

Jako prawdziwy sługa Chrystusowy, ks. Bodouin był ubogi, ale miał tę silną wiarę, która góry przenosi, i tę wielką miłość, która cudów dokonywa, liczył tedy jedynie na jałmużny i nie zawiódł się, za łaską Opatrzności zebrał potrzebne fundusze i wystawił ogromny gmach, do dziś istniejący w Warszawie pod wezwaniem Dzieciątka Jezus. Podanie niesie, iż raz zbierając jałmużny, natrafił na jakieś zbyt

wesołe grono młodzieży, gdzie zamiast datku policzkiem go poczęstowano. Zaprzeczają temu jednakże i my też nie możemy uwierzyć, aby w katolickiéj Warszawie znalazł się człowiek zdolny do znieważenia tak ciężko kapłana. I bez tego on pewnie niemało poniósł trudów i upokorzeń wszelkiego rodzaju, nim zdołał takie olbrzymie przedsięwzięcie do końca doprowadzić.

Ten święty, zasłużony mąż dotychczas nie ma pomnika w Warszawie, dziś dopiero o tem pomyślano i gorliwie rozjakiegoś wydatku, zaoszczędziwszy na tem lub owem. Tymczasem z takich groszowych datków, byle licznie napływały, składają się krocie. O grosze więc tylko, o grosze przedewszystkiem prosimy was, czytelnicy kochani, na pomnik dla ks. Bodouin'a

Nikt nie mógł lepiéj ocenić zasług tego świątobliwego męża, jak czcigodny Stanisław Jachowicz, który szedł w jego ślady, był także nazywany Ojcem sierot. Jak wspomnieliśmy wyżéj, wierszyk tu wydrukowany przesłano nam

Zwierzęta podbiegunowe.

poczęto zbieranie składek na ten cel piękny i szlachetny. Dzieci powinny także dorzucić swoje grosiki dla uczczenia tego, który był tak wielkim dobroczyńcą niemowląt opuszczonych. Odzywamy się więc do kochanych czytelników naszych, nigdy jeszcze nadaremnie nie pukaliśmy do ich poczciwych serduszek, i teraz z pewnością nie zawiedziemy się na nich. Jak zwykle, tak i dziś powtarzamy, że nie wymagamy wcale większych datków. W dzisiejszych ciężkich czasach nie każdy może rozporządzać tak łatwo choćby jedynym całym rublem, nieraz nawet i o złotówkę trudno. Lecz grosz, dwa, trzy grosze, każdy znaleść potrafi, odjąwszy je od

w autografie, to jest napisany własną ręką autora i z własnym jego podpisem. Cenny ten autograf może być obejrzany w redakcyi naszéj i nabyty, a otrzymane za to pieniądze syn ś. p. Jachowicza przeznacza także na pomnik Bodouin'a; słusznie bowiem sądzi, iż ofiarą téj drogiéj po czcigodnym ojcu spuścizny uczci godnie jego pamięć. Rozumie się, że pragnęlibyśmy autograf spieniężyć jaknajdrożéj, urządzamy też w tym celu rodzaj licytacyi i zapytujemy, co kto daje za niego? Potem z kolei zapytamy, kto da więcéj, a najwięcéj dający go otrzyma.

Zwierzęta podbiegunowe.

W zeszłym N-rze „Wieczorów" podaliśmy wam zwierzęta zwrotnikowe, żyjące w gorącym klimacie, dziś macie znów inne, z najzimniejszych stref rodem. Trudno uwierzyć, aby w tych okolicach wiecznych śniegów i lodów mogło żyć takie mnóstwo istot rozmaitych, a jednak, począwszy od drobnego komara, który sięga, jak się przekonano, bardzo daleko na północ, aż do ogromnego niedźwiedzia białego, świat zwierzęcy ma licznych przedstawicieli w strefie podbiegunowéj. Potężny niedźwiedź może być śmiało nazwany królem tych zwierząt, panuje on i na lądzie i na wodzie, tam gdzie lody puszczą; chociaż nie jest właściwie zaliczany do ziemnowodnych istot, pływa jednak dość zręcznie, aby łowić ryby. Zwierz ten ma stopy nadzwyczaj szerokie, nawet jak na niedźwiedzia, pod spodem miękką sierścią porosłe, co mu ułatwia niezmiernie stąpanie po gładkim lodzie.

Jakkolwiek drapieżny, niedźwiedź biały rzadko napada ludzi, chyba broniąc się od napaści, najczęściéj stacza walkę z fokami, gdyż małe, tłuściutkie foki są jego ulubionym pokarmem. Rodzice zawzięcie bronią malców, zwykle nadaremnie, nieraz życiem przypłacają swoję troskliwość, zwłaszcza jeżeli walka odbywa się na lądzie, gdyż tu foki są bezsilne, uciekać nawet śpiesznie nie mogą.

Pilica, Smoleń i Ogrodzieniec.

przez **Stanisława z Warszawy.**

(Dalszy ciąg).

Pilica na mocy zapisu królewiczowéj przeszła w ręce jéj krewnego Teodora Wessla, podskarbiego Koronnego. Ten wierny stronnik dynastyi saskiéj, nie chcąc uznać elekcyi St. Augusta, zniszczył na ten cel cały swój majątek, a zamek Pilicki przekształcił na piękny pałac, który jednak zachował wały i część zamkowych murów. Po śmierci podskarbiego jego wierzyciele wytoczyli proces spadkobiercom, który ciągnął się blizko przez lat 50. Po rozbiorze Polski, majętność Pilicka rozciętą została na 2 części: jedna, leżąca po lewéj stronie Pilicy, przeszła pod rząd pruski, a druga, po prawéj pod austryacki. Wreszcie skończył się proces, nastąpiła cząstkowa sprzedaż dóbr. Część z m. Pilicą nabyła Teodora Kownacka, wtedy to w 1810 r. Fryderyk, król Saski i Książę Warszawski w przejeździe do Krakowa gościnnie był podejmowany na dawnym zamku Pileckim. Następnie dobra Pilickie, które przeszły na własność Banku berlińskiego, nabył Józef Skorupka, senator z Krakowa, a część leżąca po prawéj stronie Pilicy przeszła do rąk wnuków wierzycieli T. Wessla. Odtąd wspaniały pałac w stylu włoskim chylił się ku zupełnéj ruinie: Piliccy żydzi zdarli zeń miedziane pokrycie, deszcz i słoty wdzierały się bezkarnie do wnętrza, mury opustoszały, belki i wiązania gniły... Dopiero kiedy w 1855 dobra Pilickie nabył Krystyan Moës, przybyły do Polski z Montjoie, miejscowości wówczas należącéj do Francyi, założył fabrykę kortów, papiernię, młyn parowy i farbiarnię, podniósł również z gruzów zamek Pilicki, postawił obok zabudowania, i piękny park, założony przez Maryą Sobieską, oczyścił i uporządkował. Po śmierci Moësa, w r. 1875 nabył dobra Pilickie bankier Leon Epsztein, i przywrócił zamek do stanu z czasów Sobieskich i Wesslów, lecz i on niedługo ustąpił, a od jego wierzycieli całe dobra Pilickie nabył w 1884 r. p. Karol Brzozowski, obywatel z Podola.

Pałac złożony z 52 pokoi, z kamienną werandą i marmurowemi schodami, nazewnątrz nawet przedstawia się świetnie. Olbrzymie salony, przystrojone w ciężkie makaty i meble, sprowadzane z zagranicy, na ścianach wiszące portrety dawniejszych właścicieli zamku, pokój jadalny zaopatrzony windą ukrytą do podawania potraw, majoliki, gdańskie zegary i mozaiki wszystko w tonie poważnym i pełnym harmonii, dopełnia się wzajem, łącząc wygodę z elegancyą. Po dwóch stronach otaczają pałac starannie utrzymane cieplarnie, z tyłu zaś mieszczą się stajnie i wozownie. Wiele uroku dodaje park angielski, otoczony zewsząd dawnemi zamkowemi murami, a część koło pałacu prócz tego ogrodzona jest żelaznemi sztachetkami. Piękne linie parku tu i owdzie przerywa: to altanka na wzgórzu z szerokim widokiem, zakończonym na widnokręgu ruinami Smolenia, to rodzaj kapliczki ze statuą Najśw. Panny, to znowu grota ze sztucznie urządzonemi stalaktytami, zawsze chłodna, wabi do siebie w czasie upałów. Prócz tego szpalery strzyżone purpurowemi kwiatami głogu przyciągają oko, lipy kilkowiekowe napełniają powietrze słodkim zapachem, obok umieszczony ogród warzywny i owocowy, rozbrzmiewający świegotem ptactwa, obiecuje zadowolnić wybredne podniebienie, słowem wszystko składa się na to, aby każdy zmysł znalazł tu odpowiedni do swego upodobania przedmiot — tak zacisznie tu i wygodnie.

Droga za bramą wjazdową z parku prowadzi do obszernego, zarybionego stawu, napełnionego wodą z dwóch poblizkich źródeł Pilicy: z niego przeprowadzone podziemne rury napełniają parkowy rezerwuar, który za pomocą wodociągów służy do polewania gazonów kwiatowych i trawników, jako też do odświeżania powietrza przez stosownie urządzone fontany. Wspomnione źródła rzeki Pilicy wytryskują z pod t. z. góry Kocikowskiéj, od strony zachodu; jest jeszcze i trzecie źródło Pilicy i to najobfitsze, wypływające z pod góry, na któréj szczycie stoi drewniany kościołek Św. Piotra. Te trzy źródła łączą się poza miastem już w dość szeroką rzekę Pilicę, która odznacza się taką czystością i przejrzystością wody, że choćby w największéj głębi spostrzegać się dają kamyki, leżące na dnie. Jedna odnoga Pilicy, przeprowadzona sztucznie do papierni p. Moësa w Wierbce, służy jako motor ją poruszający; prócz tego urządzona tamże jest maszyna parowa o sile 80 koni. Druga papiernia, należąca do syna dawnego właściciela Pilicy, świeżo założona jest w sąsiednim Sławniowie na miejscu spalonéj fabryki kortów, słynnéj w swoim czasie w kraju.

Prócz tych dwóch papierni, leżących poza miastem, Pilica posiada młyn parowy, olejarnię i fabrykę słodu. Samo miasteczko kilkakrotnie w ostatnich czasach palone, zamieszkałe przeważnie przez ludność żydowską, przedstawia się nędznie i ubogo. Prześliczne tylko okolice, bogate w bujną roślinność, z widokiem z jednéj strony na Smoleń i góry Strzegowskie, z drugiéj na ruiny zamku w Ogrodzieńcu, opasują tę mieścinę w przepyszne ramki, nie pasujące całkiem do zawartego w niéj obrazu. Prawdziwą tylko ozdobą, oprócz opisanego już zamku, są 3 kościoły katolickie. Służą one za dowód, że inaczéj kiedyś wyglądała Pilica, kiedy miała tyle przybytków poświęconych Bogu, gdyż oprócz trzech wspomnianych jest jeszcze kaplica, nadto ruiny jednego kościoła i dotychczas pokazują miejsce, na którem stał niegdyś kościół piąty. Przejdźmy do opisania tych, co istnieją.

Kościół parafialny pod wezwaniem Św. Jana Chrzciciela niewiadomo kiedy i przez kogo był stawiany, w każdym razie sięga on XVI w., gdyż z tego czasu (1559 r.) jest nagrobek marmurowy, wystawiony jednemu z potomków hrabiów Pilickich. Każdy prawie z właścicieli Pilicy pozostawił tu wspaniałą pamiątkę, i tak: Padniewski Wojciech, założyciel zamku, wzniósł w 1601 r. przy tym kościele kaplicę z pięknym ołtarzem w kształcie ofiary Abrahama i przyozdobił ją wspaniałym nagrobkiem dla swych rodziców Mikołaja i Anny, w kształcie płaskorzeźby z brunatnego marmuru. Prócz tego wyjednał on w 1612 r. podniesienie probostwa pileckiego do rzędu kolegiaty i oznaczył fundusz dla wikaryuszów, uposażając kościół dobrami, a stryjeczny brat jego Stanisław uposażył kanoników pileckich i założył kościół inny, który teraz stoi w zupełnéj ruinie, jak już o tem wspominaliśmy. Drugą kaplicę uposażyli Warszewiccy, którą oprócz pięknego ołtarza Św. Józefa zdobią pomniki grobowe ich rodziny. Trzecia kaplica poświęcona jest pamięci ro-

dziny Pileckich; a czwarta, świeżo odnowiona, ku czci P. Jezusa. Wszystkie te kaplice oprócz innych ozdób mają ściany pokryte freskami dobrego pędzla obecnie odnawiane. W głównéj nawie zbudowany jest ołtarz w stylu odrodzenia poważny i bogaty, po bokach stale dawnych kanoników, loża kolatorów i na chórze, świeżo postawionym z dębowego drzewa, wspaniałe organy o harmonijnym głosie. Obszerna i widna po lewéj stronie kościoła zakrystya mieści w sobie bogate i piękne aparaty kościelne z daru króla Jana III pochodzące, a staraniem żony obecnego właściciela Pilicy odrestaurowywane i odnawiane. Drugi kościół z klasztorem OO. Reformatów fundowany był przez Maryą Józefę Sobieską w r. 1743, poświęcenie zaś nastąpiło w 3 lata późniéj, nadano wtedy kościołowi tytuł Imienia Jezus; zbudowany on jest z dwiema bocznemi balustradami, oddzielającemi nawę od sześciu bocznych ołtarzy, bogatych w kości Męczenników Św. Benedykta i Św. Magdaleny; prócz tego w ołtarzu głównym mieści się ampułka z krwią zakrzepłą tegoż Św. Benedykta m., nad jednym z bocznych ołtarzów M. Bozkiéj widnieje w górze obraz Św. Anny pędzla Smuglewicza. Jest kilka marmurowych nagrobków rodziny Wesslów, oryginalny zaś portret fundatorki mieści się w jednéj z cel klasztornych. Nad kropielnicą w kruchcie mieści się następujący wiersz, malujący obrazowo daną epokę:

„Teklę z imienia, z przezwiska Bielecką,
„Z cnót wyboryczną, a z męża Piasecką,
„Siekierą sługa zabił w nocy panią:
„Mąż Michał prosi o westchnienie za nią,
„Prosi i za nim — bo w pokutnym ryku
„Odebrał karę wpośród miasta rynku;
„Rękę ucięto, kleszczami szarpano,
„Żywo na ćwierci w ostatku siekano.” 1774 r.

(d. n.)

NA ZBÓJECKIM OSTROWIU

powieść

przez **M. Zielińską.**

(Dalszy ciąg).

— Z książki! — odpowiedział, a oni wydziwić się nie mogli i odtąd malec na każdem wiejskiem zebraniu opowiadał ludziom, co w książce wyczytał, a oni rośli z dumy, że im się udał tak mądry wychowaniec. Książka jedna były to „Żywoty świętych”, a druga „Historya Polski”, obie w opowiadaniach zastosowanych do pojęcia ludu i dzieci. Jadąc poraz drugi z dzieckiem do księdza, zabrano i obie książki, starannie w szmatki owinięte, sądząc, że należy je oddać, ale ksiądz ku radości ogólnéj książek nie wziął, tylko wypytywać zaczął Marcyana o to, co w nich wyczytał i zdziwił się bardzo spostrzegłszy, że chłopczyk niektóre całe karty i po kilka ich umiał na pamięć tak dokładnie, jakby się ich naumyślnie słowo w słowo wyuczył, a o innych mało co wiedział. Zamyślił się ksiądz nad przyczyną tego i po chwili rozśmiał się mówiąc:

— Już wiem!... Ej, swawolniku mały, nie będzie z ciebie ksiądz, tylko światowy psotnik jakiś, bo o świętych męczennikach przeczytawszy, jużeś więcéj do tego czytania nie wracał, ale gdzie jest o rycerzach, choćby i świętych mowa, i o rycerskich sprawach i światowych rzeczach, królewskich weselach, rycerskich gonitwach i figlach różnych, tam po sto razy jedno czytałeś i przeto wiesz o tem na pamięć!

Marko się zaczerwienił, bo ksiądz zgadł, jakby obecny bywał przy owem czytaniu; ale się nie gniewał ksiądz, tylko dał znowu dwie książki do czytania chłopczynie: jedna z nich opowiadała o ziemi, jaka ona jest, i o krajach, i ludziach na niéj i ksiądz, dając ją, z godzinę wprzódy sam mu tłómaczył to, o czem w niéj było napisano; a w drugiéj była mowa o Grekach i Rzymianach, zawsze w krotkich opowiadaniach, a Marko znów tyle razy chciwie czytał, że się prawie wszystkiego na pamięć wyuczył. W taki sposób dzieciak, doszedłszy blizko lat czternastu, choć ledwo kilka książek w życiu przeczytał, umiał przecież daleko więcéj, niż wielu ludzi, którzy całe stosy ksiąg przerzucili i licznych mieli nauczycieli, nie wyuczywszy się niczego dokładnie i zapominając niejedno, gdy się drugiego dowiadywali. Pomagając też Hryczym we wszelkiéj robocie i jeżdżąc z rządcą wszędzie po gospodarstwie, podrosły już chłopak poznał doskonale swą ziemię i jéj właściwości, lasy, strumienie, jeziora, brody, i wszystkie niebezpieczeństwa, chociaż chmurny powracał z takich wycieczek, bo Hryczy, patrząc na to wszystko, sam chmurny jak poleska jesień, miał zwyczaj mówić:

— Paniczyku Marku, widzisz te ogromne lasy i tamte obszary zbożem błyszczące?... otóż wiedz, że to jest wielkie bogactwo, a tego całego bogactwa równa połowa twoja jest, i powinieneś sam ją w zarząd wziąć i wszelki pieniądz z niéj przychodzący odbierać, gdy dorośniesz tak, że będziesz umiał sam się rządzić... A no, czy te „francuzkie miemcy” zechcą tobie oddać co twoje bez swaru?... hm... obaczymy!... A zaś już i teraz, gdzież to oni podziewają tę połowę przychodu, która twoja jest, a oni sobie każą ją posyłać, na ciebie nic nie łożąc?... hm... i ten panicz Nernest starszy jest od ciebie i jeżeli go uczą po pańsku, to musi mieć już rozum, a czemuż to on nie ujmie się za tobą, bratem swoim, żeby też „opiekuństwo” grosz twój na ciebie łożyło, a pańskie dawało ci wychowanie? hm... Hej hej, żeby tam tylko panicz Nernest nie zmiemczał, a brata i ziemi rodzinnéj nie zapomniał... ej... albo się jego i nie odrzekł.

Tak mówił nieraz Hryczy, patrząc na bogate włości, któremi zarządzał, i choć zwykle milczący, wypowiadał przecież te dręczące myśli z goryczą, która udzielała się słuchającemu go dziecku. Marko przywykł też, słysząc te słowa i wieśniacze nad listami narady, uważać „opiekuństwo” jako wrogów, zamierzających go obedrzeć z własności, a starszego brata za ich wspólnika, ponieważ „zmiemczał” i brata się odrzekł. Gorzkie te myśli źle usposabiały panicza Marka, który też czytając teraz sam już listy ręką Ernesta pisywane, w których nigdy o nim prawie wzmianki nie było, zaciskał pięści, mając ochotę zdusić niemi Francuzów opiekunów, odwracających od niego wyraźnie serce brata Ernesta. Trzeba zaś wiedzieć, że pięści te nie od parady ani dla proporcyi tylko miał panicz Marko, bo choć w dzieciństwie był delikatnym i wątłym, to z czasem przy czynnem wieśniaczem życiu a troskliwem, choć prostem żywieniu, zmężniał potężnie, aż Poleszucy chlubili się siłą swego wychowańca, niemniéj jak jego rozumem.

Nie wiadomo, czy Marko miał istotnie ten wielki rozum, jaki mu Poleszucy przypisywali, ale to pewna, że miał zastanowienie, że względne osamotnienie jego na stanowisku pana w pośród sług, na jakiem go Poleszucy sami, w miarę jak podrastał, koniecznie stawiali, i życie z przyrodą potężną, ponurą i dziką po części, nauczyły go wcześnie myśleć i czuć, a nieliczne lecz dobrane i zrozumiane książki rozwinęły w nim myśl i uczucie. To też bardzo często w chwilach koniecznego po pracy spoczynku, spoglądając na otaczające go ciemne obszary, myślał sobie:

— Czemże byłby świat cały, gdyby nie było na nim prócz człowieka dziedzica więcéj jeszcze ludzi, zdolnych kochać go i rozumieć? Czemże są wszystkie skarby świata wobec jednego kochającego serca? I cobym ja też zrobił, gdyby ten, kto na listach z Paryża podpisuje się Ernestem Dębskim, stanął nagle przedemną i powiedział: „Tyś chłop i małe są twoje potrzeby i ręce silne do pracy, a jam wielki pan, któremu zbyt wykwintne wychowanie wytworzyło mnóstwo potrzeb, a sił do ich zdobycia nie było; oddajże ty mi swoję część majątku, bo ja więcéj niż ty potrzebuję złota, bracie”.

Marko czuł, że za ten ostatni wyraz „bracie”, gotów był oddać wszystko i życie w dodatku. Zdawało mu się to nawet sprawiedliwem, aby ten, kto więcéj potrzebuje, posiadł

więcéj, jako osłodę w tem nieszczęściu, że wytworzono mu potrzeby sztuczne. Ale kiedy Marko pomyślał czasem, że zamiast szczerze z nim wychodzić, Ernest działać ma podobno zamiar podstępnie i dla nędznych marnych dóbr tego świata staje się wrogiem bratu, pozbawiając go a przynajmniéj usiłując pozbawić oświaty, największego dobra, jakie istnieje, natenczas żal, i gniew, i oburzenie napełniały serce chłopaka, i pięści zaciskały się znowu, a usta szeptały mimowoli a gwałtownie:

— Przemocy, zdradzie, nie dam się!

Niekiedy znowu przychodziło na myśl Marcyanowi, że może Ernest pod władzą Francuzów opiekunów zmuszonym jest tylko pisać, jak pisze? I opanowywało chłopca pragnienie niepohamowane obaczenia tego Ernesta na własne oczy.

— Proszę księdza dobrodzieja... — rzekł raz nieśmiało przy bardzo nieczęstych u księdza w mieście odwiedzinach, i gdy już po otrzymaniu nowéj książki i zdania sprawy z dawniejszych zabierano się do powrotu.

— A co powiesz, panie Dębski?... — spytał ksiądz, który zawsze i z pewnym przyciskiem nazywał go po nazwisku rodzinnem.

— Ja chciałbym... chciałbym prosić ojca dobrodzieja o jednę jeszcze książkę...

— Nie bądź chciwym na dużą ilość książek, bo siły umysłu ludzkiego mają swoje granice i czytając za wiele, nie będziesz mógł przyswoić sobie na własność wszystkiego, co przeczytasz; a jednak w tym to celu jedynie czytać należy — poważnie rzekł ksiądz, ale widząc smutek na czole chłopca, dodał, badawczo mu się przyglądając: — Ale jakiejże to pragniesz książki?

— Takiéj, abym się z niéj mógł nauczyć choć troszeczkę po francuzku... pewno to gramatyki trzeba?... — szepnął Marcyan, patrząc uważnie księdzu w oczy.

— A!... — zawołał ksiądz zdziwiony, ale takim tonem, jakby nagle odkrycia jakiegoś dokonał i dodał po chwili namysłu: — Masz słuszność!... — Od razu zgadł i ani wątpił, że Marko myśli o francuzkim języku jedynie ze względu na sfrancuziałego brata, którego nędzne polskie pisanie widział ksiądz nieraz.

— Ha, kto wie — myślał, żwawo przewracając w szafce pełnéj książek — może to natchniona myśl: chłopak zdolny, jak mało, głowa otwarta, nuż przy jakiéj takiéj pomocy wyuczy się po francuzku lepiéj, niż tamten umie po polsku i przemówiwszy bratu do serca, porozumie się z nim bez procesu i zgorszenia, które w obecnym stanie rzeczy przeczuwam?...

Wynalazł niedużą książkę i dał ją Markowi objaśniwszy, jak jéj należy używać, co przy każdéj zwykł był czynić. Hryczowie wrócili na swój ostrów, spoglądając na wychowańca z coraz większem uszanowaniem i z przerażeniem nawet niejakiem, mniéj więcéj tak, jak kura spogląda na pływające po wodzie kaczęta, które wysiedziała. Już od pół roku mozolił się Marko z francuzczyzną, gdy na Zbójeckim Ostrowiu zjawił się skromny braciszek klasztorny, przyprowadzony przez starego Wasia, znanego na całą okolicę a koniecznego tam przewodnika. Braciszek umiał nieźle po francuzku i przybywał z rozkazu przełożonego, aby paniczowi Dębskiemu cokolwiek w nabyciu francuzczyzny pomódz. Jakoż pomagał przez parę tygodni ledwo, a potem wrócił do klasztoru.

(d. c. n.)

PROZA I POEZYA.

Wieczór nakryty ciszą ogłuszał, bielały mury Nachoru, góry zachodnie ściągały słońce z błękitu na szczyty sine. A palmy obsiadły cysternę na staj niewiele przed Nachorem, a pod palmami wielbłądy pokładły się w rząd, skubając ziele. Gromada owiec, strzepując rosy na łące, wracała z pastwisk, jakiś wędrowiec stał przy cysternie i na słońce oczy wieszał. A od karawany jego sługy wsparci na siodłach gwarzyli, on zadumany jeden tylko stał i w modłach swych tak rozmyślał: Niebo tu obce, rzesza tu obca, nudno i markotno jakoś, i nikt nie pośpiesza z powitaniem, odludno, choć niby ludno. Jam pod biodro rękę mu położył, synową przywieźć przysiągłem, lecz gdy łaską szczodrą Bóg mą głowę nie uświęci, nie poradzę. Niech ta sprawa Jemu będzie dana, niech jego rządy w niéj będą, oto ta, co napoi me wielbłądy, wejdzie w dom mego pana.

* * *

Z téj prozy ułożyć siedm strofek czterowierszowych z rymem.

Łamigłówka zgłoskowa (Stefan B.)

Z następujących zgłosek: a—bad—e—gu—den—la—le—lec—in—ki—ku—ro—stra—su— sy — wał — ze — ułożyć wyrazy: 1. Oznaka nicości. 2. Miasto w Persyi. 3. Zbiory drzew. 4. Nazwa raju. 5. Miasto w królestwie polskiem. 6. Niezbędna część palnéj broni. 7. Rzeka wpadająca do Dniepru. Litery początkowe i końcowe, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwiska dwóch poetów naszych z XIX wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go.

Zagadki:

Jar — Raj.

Łamigłówki zegarka:

Rokosz—Rękawy—Rodryg—Rozejm—Rybaku—Rydwan — Robert — Ramses — Regent — Rewera — Ressor—Rolety.

Zygmunt Stary.

TREŚĆ: Pracownia pana Adama, p. M. J. Z. (z drzew.) — Brat ociemniały, powieść Homera Green'a, przełożył z angielskiego Henryk Wernic. — Ksiądz Bodouin. — Pilica, Smoleń i Ogrodzieniec, p. Stanisława z Warszawy. — Zwierzęta podbiegunowe (z drzew.) — Na zbójeckim Ostrowiu, powieść p. M. Zielińską. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek.** Michałek (z drzew.) — Szkodnik, wierszyk p. Maryą Leonę. — Imieniny prababci, p. Arę. — Łakoma Mania, opowiedziała Wiochna z pod Lublina. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Февраля 1888 г. Redaktorka i wydawczyni **Ludwika Hauke.**

W drukarni Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11